Łódź, Środa 10 sierpnia 1932 r. Rok III. Nr. 32 (120).

REPUBLIKA DZIECI

Tygodniowy dodatek „Republiki".
Ilustrowane pismo DLA DZIECI i MŁODZIEŻY pod redakcją Jerzego Bilisa

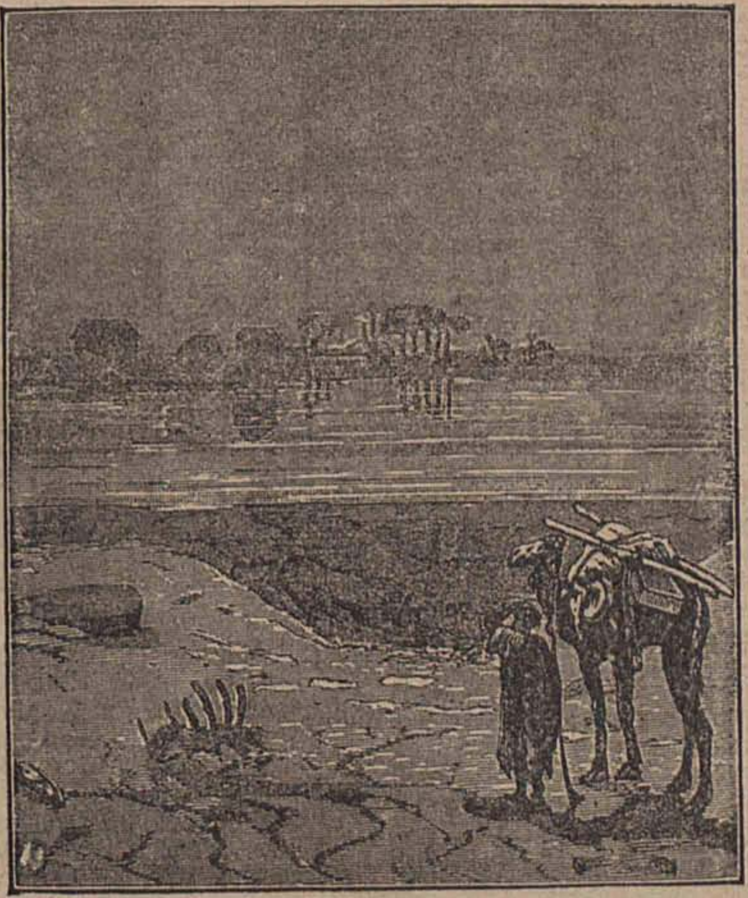
CUDA PRZYRODY.

Widziadło powietrzne.

II.

A teraz inny rodzaj widziadeł powietrznych, mianowicie obrazy zwierząt, miast lasów, mórz i t. p., jakie można widzieć na niebie. Obrazy takie zowią się odbiciami lub mamidłami świetlnemi.

Od najdawniejszych czasów zjawiska te zwracały już na siebie uwagę ludzi. Pewien uczony, grek, tak pisał jeszcze przed dwoma tysiącami lat: „Dziwne rzeczy dzieją się w Afryce. W pewnych porach, szczególniej podczas ciszy, w powietrzu ukazują się tam obrazy najrozmaitszych zwierząt — jedne nieruchome, inne poruszające się. To zdają się one uciekać to znów gonią się wzajemnie, a wszystkie są wielkości nadzwyczajnej. Widok ten napełnia przerażeniem ludzi obcych, nieprzywykłych do tego szczególnego zjawiska, chociaż mieszkańcy tamtejsi nic sobie z tego nie robią".



Opisów podobnych mamideł z różnych czasów i miejsc kuli ziemskiej jest mnóstwo. Są okolice, gdzie zdarzają się one bardzo często. Pewien podróżnik, który mieszkał kilka lat pośród stepu w Krymie (półwyspie leżącym na morzu Czarnem), opowiada, że latem nieraz całemi godzinami zachwycał się następującem widziadłem: zwykle rano, około godziny 9-ej lub 10-ej a niekiedy i przed wieczorem, podczas zupełnej pogody i ciszy, ukazywał się tam nagle obraz miasteczka na widnokręgu; był on tak wyraźny, że można było doskonale odróżnić domy, kościół, ulice, drzewa. Wszystko to unosiło się na wysokości pół metra nad ziemią i zdawało się, że stogi siana, domy lub drzewa stojące w pewnej odległości, są jakby do połowy zatopione w wodzie, odbijając się w niej wyraźnie swemi wystającemi wierzchołkami. Gdy się zbliżano do tej mniemanej wody, znikała zupełnie i stogi ukazywały się w całości, jak zwykle.

Tak samo znikało za zbliżaniem się, widziadło miasteczka. Jeśli powiał wiatr, cały ten obraz ginął w jednej chwili, jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej — i również nagle zjawiał się znowu, gdy powietrze uspokoiło się.

Znikome to mamidło miasta było najprawdziwszym obrazem istotnego miasteczka, które leżało w tej samej stronie, co owo powietrzne widziadło, lecz o pięć kilometrów dalej, poza widnokręgiem, nieco w dole — i dlatego nie mogło być stamtąd widziane.

Bardzo podobne do powyższego są opisy mamideł z pustyni egipskiej, leżącej niedaleko ujścia rzeki Nilu.

Powierzchnia gruntu przedstawia tam zupełną płaszczyznę; nad nią tu i owdzie wystają tylko niewielkie wzgórza, na których pobudowane są wioski, zabezpieczone w ten sposób od corocznych wylewów Nilu. Tak przedstawia się ta okolica rano i wieczorem. Lecz gdy słońce ogrzeje nieco powierzchnię gruntu wówczas wydaje się jakby w pewnej odległości ziemia się kończyła. Wioski wystają, jak wysepki, pośrodku tego złudnego jeziora, a pod każdą z nich widać jej obraz, odbity w mniemanej wodzie.

Kiedyindziej oczom wędrowca strudzonego uciążliwą drogą, upadającego ze znużenia, dręczonego okropnem pragnieniem, ukazuje się

nagle na skraju pustyni prześliczne jezioro, w którego nurtach odbijają się wysmukłe palmy, rosnące nad jego brzegiem. Tam woda! — tam upragniony spoczynek w cieniu drzew! — tam ocalenie! „Błogosławiony bądź, Allahu!“ — wykrzykuje z radością Arab i żwawiej popędza wielbłąda, by dotrzeć prędzej do zbawczej wody. Lecz w miarę, jak on się zbliża, jezioro usuwa się przed nim ucieka — wreszcie znika zupełnie, zostawiając go w rozpaczy, pośrodku spiekłej pustyni. Biedny Arab gonił nie jezioro, a mamidło jakiejś dalekiej oazy!

Podczas wojny Napoleona I-go z Anglikami w Egipcie, wojsko francuskie nieraz było igraszką podobnych mamideł. Często zmęczeni, umierający prawie z pragnienia, Francuzi, dobywali ostatnich sił by dojść do mniemanego jeziora, a ono uciekało przed nimi, jakby naigrawając się z ich męczarni.

Mamidła te ukazywały się na widnokręgu prawie na powierzchni ziemi; często wszakże widać je wyżej na niebie, przedstawiają się, jakby zawieszone w powietrzu. Bywają one trojakiego rodzaju, albo widać obraz przedmiotów w ich zwykłem położeniu, albo tak jakby były odwrócone do góry nogami, albo też widać dwa obrazy: u góry — prosty a pod nim — odwrócony.

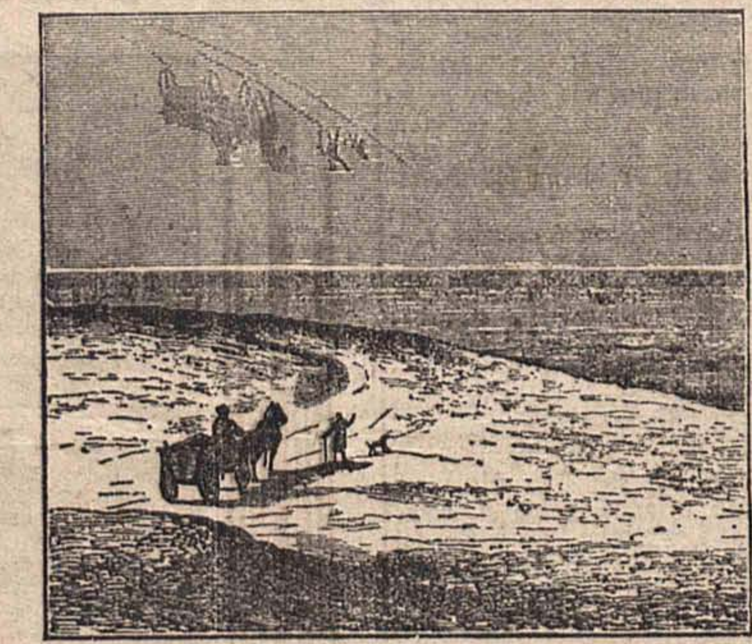
Pewnego razu mieszkańcy wiosek, sąsiadujących z miastem Brystolem w Anglji, byli świadkami dziwnego widowiska. Oto ujrzeli wieczorem na niebie, pokrytem dość gęstemi obłokami, duży oddział konnicy, który zdawał się przejeżdżać to stępa, to kłusem. Kawalerzyści z szablami w ręku, wszyscy byli jednakowo umundurowani, a widać ich było tak doskonale że można było odróżnić prawie tranzle i ostrogi. Przez pewien czas jechali szóstkami, potem sformowali się w dwójki lub galopowali szeregiem.

To samo zdarzyło się w pewnem mieście we Francji. Trzej zupełnie wiarogodni mieszkańcy tego miasta zobaczyli pewnego ranka na niebie całe wojsko, i to z taką dokładnością, że poznali mundury artylerzystów, a nawet odróżnili jedną armatę ze złamanem kołem.

Podobno i u nas w stronach Kielc w roku 1871 widziano na niebie bitwę Francuzów z Prusakami; także pisano o mamidle niebieskiem, przedstawiającem jedną z potyczek oddziału rosyjskiego z turkomanami w środkowej Azji.

Mamidła odwrócone zdarzają się często nad pustyniami i morzami krain podbiegunowych, chociaż bywają widzialne i w innych okolicach. Tak, pewien uczony opowiada, że raz podczas wycieczki nagle zobaczył na niebie wyraźny obraz swej bryczki i siebie jadącego drogą.

Pewien słynny malarz opowiada, że podczas pobytu w górach ujrzał raz na niebie widok miasta odwrócony, lecz tak wyraźny, iż odróżniał doskonale domy, wieże i dzwonnice. Przerysowawszy czemprędzej ten obraz, malarz postanowił dojść jego przyczyny i udał się w góry, w stronę owego mamidła. Jakiż był jego podziw, gdy z wierzchołka góry ujrzał o kilka kilometrów dalej na ziemi rzeczywiste miasteczko — to samo, którego odbicie powietrzne już narysował w swoim zeszycie.



Jeszcze piękniejsze odbicie powietrzne widział pewien Francuz podczas podróży balonem nad cieśniną morską oddzielająca Francję od Anglji. Było to w roku 1858. Cała północno-zachodnia część nieba była pokryta gęstym, szarym obłokiem. Chcąc zobaczyć jego granice, Francuz podniósł oczy w górę — i jakże się zdziwił, gdy ujrzał wprost nad sobą szeroko rozpostartą zielonawą powierzchnię wody... Niezadługo ukazała się na niej mała, czarna, poruszająca się plamka: był to maleńki, jak łupina orzecha, obraz płynącego okrętu, odwróconego masztami i żaglami na dół. Za chwilę ukazał się również odwrócony obraz parostatku pocztowego płynącego do Anglji; zapomocą lornetki widać było wybornie nawet dym, wychodzący z jego komina. Potem zjawiały się coraz nowe statki i berlinki — tak, że zachwycony podróżnik nie wiedział w końcu, co było piękniejsze, czy prawdziwe morze, leżące pod nim, czy też górne odbicie tegoż morza na niebie.

Mamidła podwójne, polegające na tem, że nad odwróconym obrazem przedmiotu ukazuje się w pewnej odległości obraz jego prosty zdarzają się często nad morzami północnemi. Tak, podczas wyprawy niemieckiej do bieguna północnego w roku 1869, widziano nieraz nad okrętami dwa ich obrazy: jeden leżący wyżej — prosty, a drugi — odwrócony pod nim. A bywają też odbicia potrójne i poczwórne. Do jakiego stopnia piękne bywają mamidła świetlne nad morzami północnemi, pokazuje następujący opis.

„Było to niedaleko Grenlandji, na oceanie Lodowatym — północnym. Słaby wietrzyk zaledwie marszczył powierzchnię morza. Przy olśniewającym blasku słońca płynęliśmy pośród olbrzymich pól i gór lodowatych. Zwierzęta i ptaki morskie otaczały nasz statek i swemi zwinnemi ruchami ożywiały morze i powietrze; foki wysuwały z wody okrągłe głowy, a wieloryby pluskały się w oddali. Pogoda była spokojna i ciepła. Nagle zauważyłem że przedmioty, znajdujące się daleko od nas, zaczęły się unosić w górę i zbliżać ku nam! Zawisłszy w powietrzu, co chwila zmieniały one swą postać. Dalekie góry i pola lodowe to ukazywały się w zwykłym kształcie, to znów rozszerzały się, opuszczały na dół, układały się spokojnie na powierzchni morza — i znowu unosiły się w górę... Wysoka wieżyczka, daleki wierzchołek góry, wznosiły się w powietrze przybierając stopniowo postać krzyża, miecza lub człowieka...

Znikł ten obraz — i w tem miejscu zjawiało się odbicie jakiejś góry, fortecy lub innego przedmiotu. Niekiedy ukazywały się doliny z

KRET.

(Dokończen**

To też kret oddaje się żarłoctwu przy każdej sposobności, ani niebezpieczeństwo ani obecność człowieka, ani strach, ani jakiekolwiek inne przeszkody nie są w stanie powstrzymać go od tego. Polując, nie zwraca uwagi na nic nawet na wrogów; pogoń za zdobyczą pochłania go całkowicie. Ofiarę swą atakuje gwałtownie, godząc swemi ostremi zębami w jej brzuch; pokonawszy ją, pogrąża z rozkoszą głowę we wnętrznościach i delektuje się wonią gorącej krwi. Od orgji takiej niczem go się już nie odstraszy. Na wszystko rzuca się z jednakową chciwością; obojętne jest dla niego, czy ma przed sobą kawałki mięsa, czy też żywą jakąkolwiekbądź istotę.

Czyniono nader ciekawe doświadczenia nad apetytem kreta; doświadczenia te wykazały, iż małe to zwierzątko potrzebuje kolosalnych ilości pokarmu i wyjątkowo często musi się odżywiać.

Znakomity uczony francuski Saint Hilaire Goeffroy, który zajmował się badaniem obyczajów kreta powiada, że pewnego razu wysłano mu w skrzyni kilka sztuk tych zwierzątek. Potrzebował je do swych doświadczeń. Otóż droga trwała niecałe dwadzieścia cztery godziny. Przez ten krótki przeciąg czasu krety były pozbawione pożywienia.

Cóż się okazało? Oto z czterech egzemplarzy, jeden tylko zachował się przy życiu, reszta zdechła z głodu. Innym razem z dwóch kretów, transportowanych razem w skrzynce, uczony odebrał jednego tylko, drugi, jak się pokazało padł ofiarą żarłoczności swego towarzysza, pozostały zeń zaledwie szczątki. Nie ulega wątpliwości, iż kret nie może wytrzymać bez pokarmu całej doby i po upływie dwunastu godzin zdycha z głodu.

Naturalnie zmusza go to do ciągłego uganiania się za zdobyczą. Zwykle też kilka razy dziennie kret udaje się na polowanie. Podziemne państwo, w którem panuje, zaludnione jest licznie i przedstawia doskonałe miejsce dla żarłoka. Pola, łaki i ogrody w każdym niemal punkcie obfitują w dżdżownice, czyli tak zwane glisty ziemne. Robaki te są najulubieńszym pokarmem dla kreta. Przypatrując się wczesnym rankiem, po wschodzie słońca powierzchni ziemi, można być nieraz świadkiem polowania kreta na glisty; ścigane przez wroga, nie mogąc umknąć pod ziemię wyskakują one nad powierzchnię i tam szukają ocalenia. Zwykle jednak stają się zdobyczą tego zręcznego w kopaniu i obdarzonego doskonałym węchem żarłoka, który wszędzie je odnaleźć potrafi i naturalnie pożre.

Jak wiadomo, dżdżownice w ciężkich gruntach oddają bardzo ważne usługi, ryjąc bowiem ziemię, wzruszają ją, przewracają czynią przemakalną dla wody deszczowej, a przez to zdatniejszą do uprawy i żyzną nawet bez pomocy pługa. Nie można więc chwalić działalności kreta, polegającej na tępieniu pożytecznych robaków. Na szczęście nasz żarłok nie ogranicza się wcale na dżdżownicach, pochłania on, wszystko bez wyjątku, co znajdzie na swej drodze.

Najważniejszą zasługę jego stanowi bezwątpienia niszczenie pędraków; trzymają się one zwykle na kilka centymetrów pod powierzchnią, a więc w okolicy nawiedzanej często przez kreta. Dowiedziono że w miejscach gdzie kreta oszczędzano, chrabąszcze pokazywały się w liczbie daleko mniejszej, aniżeli w ogrodach i szkółkach, w których nie znoszono jego obecności.

Ten jeden fakt powinien wystarczyć na obronę kreta. Podczas swych podziemnych wycieczek, nasz żarłok unicestwia mnóstwo innych szkodników, zjadających korzenie roślin, nie darowywa nawet poczwarkom, z których potem wychodzą rozmaite owady, sprawiające spustoszenie w sadach ogrodach i na polach.

Wszyscy ci niepożądani goście składają, jak wiadomo, jajka w ziemi lub przy korzeniach drzew. Otóż kret, niszcząc ich zarodki, zapobiega nieraz znacznym klęskom, jakie one sprawiają.

Pole jego pożytecznej działalności uzupełnia działalność ptactwa. Ci skrzydlaci mieszkańcy ogrodów tępią znowu szkodników, ukrytych na drzewach i na powierzchni. Kret zaś sięga tam, gdzie żaden ptak nie może się dostać i gdzie bez niego znalazłyby bezpieczne schronienie miljardy stworzeń, będących plagą dla roślinności.

Niema stworzenia, które wzięłoby na siebie obowiązki kreta. On jeden jest w stanie przebywać pod ziemią. Zabijając te małe, niepozorne zwierzątko, pozbawiamy się energicznego, niestrudzonego, cały rok czynnego sprzymierzeńca przeciw wrogom i tęgiego współpracownika. Kret bowiem nie zapada wcale w letarg zimowy; dla zabezpieczenia się od mrozów, przenosi się tylko cokolwiek głębiej pod powierzchnię i tam prowadzi zwykły tryb życia, podobny do letniego.

W ciepłej porze roku, parę razy na dobę zwykle udaje się na łowy. Nocą wyłazi na wierzch i czatuje na większe zwierzęta, a nawet poluje na ptaki. Chwyta je uciekając się do podstępu. Zobaczywszy w sąsiedztwie swego gniazda jakiego małego ptaka, kret podchodzi śmiało, lecz nie napada; naraża się nawet na kilka uderzeń dziobem po grzbiecie, potem zwyciężony niby cofa się do swej galerji. Ptak ściga go nie przypuszczając zdrady i zapędza się często aż do podziemnego korytarza. Tego tylko chciał kret, ujrzawszy w ciasnem przejściu ptaka i wiedząc, iż dla braku wolnej przestrzeni ten nie zdoła już użyć swych skrzydeł, przypuszcza piorunujący atak. Nagle, jak sprężyna, zebrawszy wszystkie siły rzuca się na ofiarę. Chwyta ją za brzuch zębami i powala w jednej chwili. Wróbel wystarcza temu małemu żarłokowi na dwie uczty.

Godne uwagi, że kret pomimo swej niesłychanej żarłoczności, czuje stanowczy wstręt do pewnych stworzeń. Bardzo chętnie poluje na zwyczajne zielone żaby, chwytając je w ten mniej więcej sposób, co ptaki; nie ruszy jednak nigdy ropuchy, choćby nawet małej i łatwej do pokonania.

Prócz myszy, żab i ptaków, kret napada i pożera ślimaki, rzuca się nadto na padalce i inne mniejsze płazy. Zwierzyna ta jest dostępna tylko podczas lata; zimą kret musi kontentować się tem co znajdzie w ziemi, a więc larwami, dżdżownicami i t. d.

Podobnie jak głód, zaspakaja kret pragnienie, pije chciwie, nie obawiając się zanurzyć w wodzie. Gdy jest zaskoczony przez wylew, nie ginie, pływa bowiem w razie potrzeby doskonale. Przepływa rzeki nawet dosyć szerokie, w podróży takiej kieruje się zawsze do najbliższego punktu. Fakt ten może obalić twierdzenie, iż kret nie widzi.

Wycieczki na powierzchnię ziemi, dla łowów, lub celem zaspokoje-

---

drzewami i zwierzętami; te znikały — i przed nimi rozciągał się długi szereg niedźwiedzi, psów, ptaków, ludzi, a wszystko to podskakiwało, tańczyło i unosiło się ku niebu. Przez większą część dnia zachwycaliśmy się temi czarownemi widziadłami: lecz powiał wiatr północny — i wszystko zniknęło odrazu".

(Dokończenie nastąpi).

Promień słońca.

Dziewięć dni leżał Kazik, walcząc między życiem a śmiercią. Dziewięć dni i dziewięć nocy czuwała bezustannie mama jego przy chorym, śpiąc z głową opartą o krawędź łóżeczka syna i wciąż wpatrywała się w bladą i wychudzoną twarzyczkę, czy nie dojrzy na niej uśmiechu, czy nie usłyszy słowa z ust dziecka.

Aż dnia jednego zczerniałe i zeschłe wargi Kazika rozchyliły się a z ust wyszedł ledwie dosłyszalny szept:

— Pić...

Mama wpuściła kilka kropel wody w usta dziecka i nasłuchiwała jego oddechu, a przekonawszy się, że oddech jest spokojny, regularny, wtuliła twarz w dłonie i zapłakała ze zbytku szczęścia. Ze łzami temi spłynęły wszystkie troski, niepokoje i obawy.

Chłopak otworzył oczy, matka wzięła w swe dłonie wychudzone ręce syna i szeptała:

— Śpij, moje dziecię, śpij... a jak wstaniesz pójdziemy na łąkę, gdzie świeci słońce, gdzie kwitną niezapominajki, nazbieramy dużo kwiatków, usiądziemy nad strumykiem...

Kazio słuchał słów matki, cichych, śpiewnych, jak kołysanka, i nawpół tylko rozumiejąc, co mówiła usypiał, a w uszach jeszcze dźwięczały mu słowa:

— Będziesz się bawił na murawie, słońce cię ogrzeje i będziesz znowu wesoły, rumiany, będziesz biegał i śmiał się...

Ale mijały dnie, a Kazio wciąż był osłabiony; blada twarzyczka jego nie rumieniła się. Uratowany od śmierci chłopak nie powracał do zdrowia.

A tam na świecie kwitły pierwiosnki, obudzone do życia jasnemi promieniami słońca.

— Teraz wiosna, śliczna złota wiosna na świecie — mówiła matka.

— Gdzież ona? — pytał stłumionym głosem chłopczyk.

— Tam na świecie... Widzisz jakie niebo błękitne i jasne...

Kazik uniósł głowę i usiłował dojrzeć w oknie ponad dachami sąsiednich domów, wąski skrawek nieba, który miał mu przedstawić wiosnę, ale zmęczony tym wysiłkiem, upadł na pościel.



A matka powiodła okiem po smutnym, długim, wąskim i mrocznym pokoju, do którego promień słońca nie mógł się dostać...

Kazio przymknął oczy i marzył o łące pełnej kwiatów, zalanej promieniami wiosennego słońca.

#

Bolek kolega Kazia, mieszkający w sąsiedniej kamienicy, przychodził codziennie odwiedzać chorego przyjaciela. Wchodził do pokoiku cichutko na paluszkach i siadał ostrożnie na stołku koło łóżka.

— On jest bardzo osłabiony — mówiła matka — nie może rozmawiać.

Więc Bolek nic nie mówił, patrzał tylko na chorego, uśmiechał się doń, a posiedziawszy trochę, odchodził znowu tak cicho, jak przyszedł. A gdy wieczorem kładł się spać, myślał o tem, co za przyjemność mógłby zrobić Kazikowi.

Dnia jednego kupił u ogrodnika fiołków i pierwiosnków i przyniósł je Kazikowi.

Chory chłopczyk ucieszył się z kwiatków zanurzył w nie obie ręce, przytulił kwiaty do twarzy, porozrzucał je na kołdrze i wciągał chciwie w pierś swą ich woń miłą.

Matka pozbierała potem kwiatki, poukładała je w wiązki, włożyła w naczynia ze świeżą wodą i postawiła na stoliku koło łóżka.

— Widzisz dziecino — mówiła — to wiosna.

A on uszczęśliwiony patrzał z zachwytem na kwiaty i uśmiechał się do nich.

Dobry Bolek zaczął znów przemyśliwać, jakąby przyjemność zrobić biednemu swemu przyjacielowi. Miał piękne książki i obrazki. Przyniósł więc je i pokazywał Kazikowi. Kazio przeglądał obrazki, na których były malowane śliczne złotowłose czarodziejki; one to spełniały wszystkie ludzkie życzenia.

Nazajutrz był jednak zmęczony i nie chciał już patrzeć na obrazki.

— A więc zamknij oczy, a ja będę ci czytała poezje lub bajki—rzekła matka.

I głosem cichym, słodkim, śpiewnym przeczytała mu śliczną baśń o wróżce co pochwyciła promień światła, zamknęła go w szkatułce i zniosła ludziom na ziemię.

— Czy to ładne? — zapytała mama, przeczytawszy.

— Śliczne — szepnął Kazik, nie otwierając oczu.

— Promień słońca, wypuszczony ze szkatułki, mógł rozjaśnić pokoje, w których mieszkały chore dzieci..., prawda, mamo?

Matka westchnęła, a Kazio mówił dalej:

— O jakże byłbym szczęśliwy, gdybym miał tutaj taki promień słońca. Mamo, zrób co, aby trochę słońca weszło do tego ponurego pokoju.

A gdy matka nie odpowiadała, Kazio mówił znowu:

— Nie możesz mi sprowadzić promienia słońca? Ja wiem, że to byłby cud, teraz nie dzieją się cuda. Dzieci z bajek są szczęśliwsze od nas... Ty płaczesz mamo? Nie płacz. Ja nie chcę ci robić przykrości. Ty jesteś taka dobra! Nie płacz... Ach słońca, trochę słońca!

A kiedy dnia tego przyszedł Bolek i przyniósł mu książki nowe, Kazik wyszeptał:

—Ja nie chcę książek, ja chcę słońca!...

I już marzenie to nie odstępowa-

---

nia pragnienia, narażają kreta na spotkanie się z jego prześladowcami. Do rzędu ostatnich należą tchórze, łasice i jeże.

Kret jest bardzo mnożny. Samica ma dwa razy do roku od 3—5 młodych, które nadzwyczaj szybko rosną. W dwa miesiące po przyjściu na świat, zaczynają już prowadzić życie niezależne i są zupełnie rozwinięte.

Spotkać można kreta w całej Europie, z wyjątkiem Sardynji i Lombardji, gdzie został prawdopodobnie oddawna wytępiony oraz w Syberji aż do rzeki Leny. W Ameryce istnieje gatunek kreta żółtego; nasz ma zwykłe futro czarne połyskujące; zdarzają się jednak i krety białe.

Jak widać, kret pomimo przykrych szkód, jakie często wyrządza w sadach, przynosi bardzo wiele pożytku.

Zabijanie przy każdej sposobności i stałe prześladowanie tego pożytecznego dla wielu względów zwierzątka, zaliczyć należy do barbarzyńskich i stanowczo szkodliwych zabawek.

ło chorego dziecka. Ciągle powtarzał jedno zdanie:

— Dajcie mi słońca Bolku, jeden promyczek słońca! Czy nie możesz mi przynieść?...

Bolek spuścił głowę smutny, zamyślony. Stanął mu w oczach jego własny pokoik, pełen słonecznego światła.

— Ach, czemu nie dzieją się cuda! — szeptał uparcie chory.

— Kto wie, może się i dzieją... — odpowiada Bolek.

Kazik źle spał tej nocy, a gdy na chwilę usnął, przez sen powtarzał jakby w gorączce: „Promień słońca!... słońca...

Mama czuwała nad nim całą noc a gdy nad ranem zdawło jej się, że chłopiec usnął, zdrzemnęła się trochę, siedząc na krześle.

#

Gdy Kazio się zbudził, było już późno. Tam na świecie musi być jasno — pomyślał. Rozglądał się po ciemnym, smutnym pokoju, o ścianach ciemno-brunatnych, nareszcie wzrok jego padł na matkę. Jej twarz była blada, zmęczona. Kazio patrząc na nią, szepnał:

— Dla ciebie, mamo, chciałbym być zdrów.

Ale wnet zmęczony opuścił głowę na poduszki; ptaszek świergotał za oknem.

— Ach, jaki szczęśliwy, on lata w słońcu a ja... czy też zobaczę kiedy choć trochę słońca?...

Wtem, o cudzie! Do pokoju wpadła przez okno jasna jakaś smuga, przez chwilę drżała i błądziła po izdebce, nareszcie padła na kołdrę Kazika, a jej światło rozgrzało chore, chude ręczyny chłopca. Olśniony tem zjawiskiem, chłopczyk krzyknął głośno:

— Mamo! mamo! Cud! promień słoneczny!...

Matka, obudzona tym okrzykiem, zerwała się ze snu i patrzała ze zdumieniem na łóżeczko dziecka zalane całe jasnością słoneczną.

— Mamo, czy to cud?...

Matka, nie mogąc zrozumieć, skąd w ciemnej, na północ zwróconej izbie wzięły się promienie słońca, szeptała:

— Bóg jest wszechmocny, moje dziecko, może więc działać cuda.

Promień słońca świecił dosyć długo, rozjaśniając pokój, ręce, nogi dziecka, potem zaczął się zwolna posuwać i tak jak wpadł niespodzianie, tak zniknął poza oknem.

— Mamo, czy on wróci?

— Zapewne... ale aby cud się powtórzył, musisz zażywać lekarstwo i musisz jeść...

— Dobrze mamo...

I był to pierwszy wesoły dzień od czasu choroby Kazika. A gdy Bolek przyszedł przed wieczorem, Kazik go przywitał temi słowy:

— Wiesz, dziś świecił u mnie promień słońca. Jak myślisz, czy wróci on jutro?

— Z pewnością — odparł Bolek.

I odtąd codzień rano powracał do izdebki Kazika jasny promień słoneczny i wnosił z sobą światło ciepło i radość na cały dzień.

Kazio jadł coraz więcej i pragnął wyzdrowieć, a wyczekując jasnego gościa, usypiał wieczorem, marząc o nim.

— Skąd też on przychodzi? Dlaczego nie przychodził dawniej świecić w naszej ciemnej izdebce? — pytał ciągle Kazio.

— Tak, to cud — odpowiadała mama.

#

Pewnego poranku, zanim promień słoneczny przyszedł do Kazika, mama wyszła do kuchni. Chłopiec czuł się tak silny, jak nigdy. Wstał więc z łóżeczka i poszedł do okna. Chciał koniecznie zobaczyć, którędy promień słoneczny przychodzi do nich pokoju. W pierwszej chwili nie widział nic prócz okien sąsiedniego domu, zalanych promieniami słońca. Naraz oczy jego olśnił blask oślepiający i Kazio ujrzał w oknie naprzeciwko słońce. Słońce to trzymał w ręku Bolek.

Kazio wiedział, że to okno należało do pokoiku Bolka. Wychylił się, spojrzał uważnie i zrozumiał cud.

Bolek trzymał w ręku dosyć duże lustro i kierował je tak, aby ono odbijało promienie słońca do okna Kazia.

— A więc to nie był prawdziwy promień słoneczny, to było tylko jego odbicie. Oszukano go, to był fałszywy promień.

Gdy mama weszła do pokoju, Kazio leżał na oknie i zanosił się od płaczu.

— Mamo, to nie był cud to nie cud!

Mama, zrozumiawszy o co chodzi, schyliła się nad synkiem, a gładząc jego jasną główkę, mówiła głosem czułym i słodkim:

— A czyż to nie cud, moje dziecko, że dobry Bolek wpadł na taką myśl, która ciebie uszczęśliwiła i wróciła ci wesołość, swobodę zdrowie. Spójrz na mnie, dziecko i nie płacz...

— Tak, miłość i dobroć mogą tworzyć prawdziwe cuda.

STRASZNA PRZYGODA.



Jakiś pan przyszedł z interesem do ojca i — usnął smacznie w fotelu ku zgorszeniu Janka i Piotrusia. Gość nie zauważył, że u nóg jego leży skóra białego niedźwiedzia.



— Usnął! — trzeba go nakryć kołdrą — rzecze Janek wielki figlarz.



Gość, usłyszawszy powitanie wchodzącej mamy, budzi się i jest przekonany że go napadł biały niedźwiedź.

Strach ma wielkie oczy!

SEN ZOSI O PRAWDZIE.

Dzień był gorący, sierpniowy. Trawki i zielone krzewy pożółkły od skwarnych promieni słonecznych, kwiatki spuściły ociężale główki. Janek i Zosia znużeni skwarnym dzionkiem, przybiegli po obiedzie na łąkę, by w chłodzie nad strumykiem odpocząć trochę. Dzieci często przychodziły nad wodę i dziewczynce nieraz się zdawało że trawki i ptaszki opowiadały jej cudne historje.

I dziś, jak zwykle, gdy tylko przyszła, zauważyła, jak trawki i kwiatki pochylają się ku sobie i szepczą coś tajemniczo. Po chwili powieki Zosi opadły, w główce jej zaczęły się pojawiać najrozmaitsze obrazy i wkrótce dziewczynka zaczęła odróżniać głosy roślin.

— Bardzo, bardzo posmutniałaś, niezapominajeczko—szepnęło źdźbło trawy.

— Ach, gdybyś ty wiedział jaki on dla mnie dobry! — odpowiedział maleńki niebieski kwiateczek.

Codzień obmywał nasze nóżki, a gdy byłyśmy bardzo zmęczone upałem, pryskał nam figlarnie na buzie, wieczorami, gdy sklaniałyśmy senne głowy, szemrał cichutko i równo, jakgdyby nas chciał uśpić.

— Któż to taki? O kim rozmawiacie? — zapytała Zosia ciekawie. Kwiatki i trawki drgnęły przelęknione. Ale śmielszy od nich wróbel zaświergotał:

— Strumyk, strumyk strumyk zmarł tej nocy. A nam wszystkim bieda, bieda, bieda! Chodziliśmy tam pić, pić, pić mówiliśmy dzięki, dzięki, dzięki.

— A strumyk był rad, rad rad — zachrzęścił pobliski krzak agrestowy.

Zosia podniosła główkę zdumiona.

— Nie rozumiem... Jakim sposobem strumyk mógł umrzeć? — zapytała. — Czy się w nim woda nie rusza? Czy może już wcale wody w nim niema?

I dziewczynka pochyliła się ciekawie nad strumykiem.

— Tak jest, mają słuszność kwiatki, trawki, wróbel i krzak agrestowy. Łożysko suche, wody w niem ani kropelki!

— Chorował, chorował—chrobotał żuczek, fruwający nad ziołami.— Chudnął chudnął, widziałem to! — dokończył, przysiadujący nieopodal.

— Cóż mu było? — zapytał nadlatujący motylek.

— Smutny los go spotkał! — zaćwierkał wróbelek.—Strumyk zmarł z głodu i pragnienia!

— To straszne! — zawołała mała niezapominajeczka i niebieskie płateczki jej kwiatka, przybladły z przerażenia.

— Czy możesz nam opowiedzieć, jak się to stało?

— Chętnie wam opowiem — odrzekł wróbel — bo dobrze znam historję tego nieszczęścia. — Słuchajcie więc: Strumyk był dzieckiem góry, na której nieraz siadałem. Matka-góra dawała mu wszystko, czego potrzebował, czasem nawet za dużo! Wówczas strumyk pieszczony przez matkę swawolił, wpadał na łąkę gdzie wy, kwiatki i trawki rośniecie teraz, a ludzie mówili, że występuje z brzegów i nazywali to wylewem.

Zosia kiwnęła główką na potwierdzenie, bo sama na wiosnę widziała taki wylew. A wróbel mówił dalej:

— Matka strumyka ma dużo wody pod ziemią, ale czasem jej braknie i wtenczas przychodzi z pomocą dobry „Ojciec", który mieszka wysoko w błękitach: zarzuca płaszcz szeroki i szary na pogodne niebo, tak, że słonka miłego nawet nie widać, a z płaszcza cieknie dużo, bardzo dużo wody. Matka-góra i syn jej, strumyk, zbierają tę wodę i sił przybywa.

Teraz znowu matka wyczerpała swój zapas; małe źródełka leśne które, jak wężyki biegną do strumienia w odwiedziny, wyschły także. Biedna matka-góra, widząc, że syn jej schnie i choruje, gorąco prosiła dobrego „Ojca" o wodę ale z nieba odpowiadały jej tylko spojrzenia błyskawic. Więc strumyk wycieńczał się coraz bardziej, coraz bardziej — aż umarł.

Wróbelek zamilkł i zmęczony odetchnął głęboko, gdyż bardzo dużo mówił.

Kwiaty i zioła, wysłuchawszy opowiadania, poruszyły się niespokojnie, a jakaś mała żabka odezwała się smutnie:

— Kwa!

Zosia westchnęła szczerze zmartwiona, gdyż bardzo strumyk lubiła.

— Czy wiecie — odezwała się młoda modrooka niezapominajka,— dopóki strumyk służył nam za lusterko, zdawało mi się, kiedy się w nim czasem przeglądałam, że słyszę te słowa:

— Nie zapominaj o mnie!

Wtedy pochylałam się niżej ku niemu i odpowiadałam:

— Strumyku kochany! Bądź pewny, iż nigdy o tobie nie zapomnę!

Słuchajcie kwiatki, trawki i wszystkie stworzeńka, któreście znały biedny strumyk, prośmy wszyscy o to, by spadły z niebios bujne krople, by strumyk ożył. Wszak i my także powiędłyśmy, posmutniały i nam potrzebne są te krople!...

Ucieszył się trwożliwy kwiateczek: nigdy przedtem nie próbował przemawiać do innych i teraz drżał niespokojnie, myśląc, co też mu odpowiedzą?

Ale roślinki nie odpowiedziały mu, tylko na znak zgody pochyliły główki i Zosia zrobiła to samo. — Wszyscy prosili o rzęsiste krople deszczu które uzdrowiłyby strumyk i pocieszyłyby tęskniące rośliny i stworzenia.

— Zosiu, Zosiu! — wołał Janek. Dziewczynka otworzyła oczy i pomyślała, że to wszystko snem było chyba.

Obejrzała się wokoło: strumień wysechł naprawdę, więc stworzenia miały rację. Na błękitnem niebie zaczęły się pojawiać chmurki. Zerwał się wiatr i napędzał ich coraz więcej i więcej. Po chwili zagrzmiało! Może strumyk wróci do życia.

Wziąwszy braciszka za rękę, Zosia pobiegła do domu. Wkrótce potem mama ułożyła ją w łóżeczku i cichy sen przymknął jej powieki, chociaż gęste krople stukały w okna, dźwięcząc jednostajnie:

— Plusk! plusk! plusk!

Nazajutrz kiedy się Zosia obudziła, na dworze było mokro a słońce odbijało się w niezliczonych kropelkach. Pierwszą myślą dziewczynki był strumień. Nie mogąc się doczekać, aż słońce wysuszy mokre trawy, pobiegła boso na łąkę.

Już zdala usłyszała wesoły szmer; woda w strumieniu płynęła spokojnie, jakgdyby jej nigdy nie brakowało.

Nachyliwszy się nad strumykiem, zobaczyła w nim Zosia swoją uśmiechniętą buzię i radośnie zawołała:

— Więc żyjesz strumyku i jesteś zdrowy?

A wesoła fala skacząc po kamieniach plusnęła, jakby chciała odpowiedzieć:

— Tak, strumyczek żyje znowu i płynie sobie. Deszczyk wrócił mu życie.

Dobry deszczyk, szeptała Zosia i uśmiechała się.

Żart.

Dziadziu — mówi Olek — ja zostanę u ciebie.

— A czemu nie chcesz wracać do domu? — pyta dziadek.

— Bo oni się tam znów każą uczyć tych nieznośnych wierszy.

— Jakich wierszy?

— A tego powinszowania na twoje imieniny, dziadziu.

Żniwo.



Pobielałe na skwerze,
Niby przędza na rosie,
Gwarzą niwy — ku ziemi
Kłos zwieszając przy kłosie.

Całe w słońca pozłocie,
Jak te chmurki pod niebem,
Od uwrocia w uwrocie
Płyną ziarnem i chlebem!

Zagonami szmer idzie,
Niby wietrzyk w sitowiu;
Nad bruzdami sierp błyska,
Jak miesiączek na nowiu!

To zaświeci półkolem,
To znów w gąszczu zapada...
„Dana-ż moja! oj dana!"
Nuci żeńców gromada.

Przodownica na przedzie,
Za nią inni tną sznurem.
Nad żeńcami — polowy
Z leszczynowym kosturem.

Stoi cięgiem, a huka,
Choć południe się zbliża:
„Dalej! zachodź! a żywo!
Nie prostujta wciąż krzyża!"

Stojakowi rzec łatwo,
Niby czapla na bagnie,
Stoi tylko i patrzy,
A sam grzbietu nie nagnie!

„Dana-ż moja! oj dana!"
Choć pot czoło zalewa
Dzwonią sierpy zagonem —
Garść za garścią ubywa!

Od uwrocia w uwrocie
Leżą kosy pokotem,
Snop na snopie, jak nabił!
Pod słoneczkiem pod złotem!

Będzież chleba! oj będzie!
To się dziedzic pokrzepi,
Z morga jakie sześć wozów...
Albo może i lepej.

El.

WRÓBEL.

I.

Ptak ten jest pospolity nietylko w całej Europie, ale nawet w Azji południowej, w Indjach, na Cejlonie i w Afryce północnej. Niedawno sprowadzono go tylko na próbę do Australji, a już go tam pełno na każdym kroku. Zdaje się, że zmiany w klimacie i otoczeniu nic go nie obchodzą. Równie łatwo zaklimatyzował się w Ameryce. Wróbel w ciągu kilku ostatnich wieków zdołał dopasować się do życia cywilizowanego. Przy boku człowieka pozbył się dawnych obyczajów a przyjął wiele nowych. Jest to więc ptak „postępowy", porzucił bowiem oddawna życie na łonie natury a zamieszkał po wioskach i miastach. I dobrze mu się dzieje.

Ledwie kolonista zdąży się zagospodarować na pustkowiu, a już wprowadzają się do jego stodoły i na strych chaty wróble, niewiadomo skąd przybyłe. Zaraz też ci mali towarzysze człowieka nieproszeni, korzystają z owoców jego pracy.

Jeżeli człowiek opuści zajmowaną przez siebie miejscowość, wróble przez dłuższy czas tam pozostają, trudno im rozstać się z wygodnym kątem, do którego przywykły i z którym się zżyły. Trzeba bowiem wiedzieć, że wróbel nigdy nie opuszcza miejsca rodzinnego chyba w wyjątkowych wypadkach. Gdzie przyszedł na świat, tam też i umiera; odległych wycieczek w okolice, ani włóczęgi nie lubi. Ponieważ mu wygodnie w sąsiedztwie człowieka, więc gnieździ się najchętniej w stodołach, śpichrzach, szopach i tym podobnych budynkach gospodarskich, nawet po strychach domów mieszkalnych. W mieście chroni się od wiatrów, przytulając się do ścian na gzymsach, pod rynnami w dymnikach. W zimie szuka przytułku w kominach, nie zważając ani na dym, ani na sadze.. Zabawnie wyglądają wróble - piecuchy, kiedy rankiem wylatują ze swego ciepłego schronienia— całe uczernione i okopcone. Niewiele sobie jednak z tego robią, byle im było ciepło.

Rzecz prosta, iż wróbel „ucywilizowany" nie buduje pracowicie gniazda; poco ma sobie zadawać trud kiedy znajduje doskonałe pomieszczenie pod dachem. Zaniechał więc odwiecznego zwyczaju i wraca doń wtedy tylko, gdy go okoliczności do tego zmuszą.

Na wsi, w braku czegoś lepszego, lokuje się w dziurach, w szczelinach murów, w krzakach, a w ostateczności wije gniazdo na drzewie. Robi to jednak niedbale; naznosi włosia, słomy, skrawków papieru sklei to wszystko, byle się jako tako trzymało kupy, i siedziba gotowa; w środku tylko wyściela ją miękko, bo lubi ciepło.

Znany jest ten fakt, że wróbel zabiera gniazda jaskółkom. Bez ceremonji wyrzuca z nich pisklęta i lokuje się w nich na dobre, nie zwracając uwagi na gniew właścicieli. Zdarza się, że ciężko musi odpokutować za ten czyn zuchwały, bo jaskółki pokrzywdzone przez niego, porozumiawszy się ze swojemi siostrzyczkami, błotem, przynoszonem w dzióbkach, zamurują go w gnieździe przywłaszczonem. Bywa też, że wróbel osiedla się pod gniazdem bociana. Nie robi on tego bez celu, lecz wie dobrze, iż w sąsiedztwie „Wojtka" jest bezpieczny od swych wrogów.

Przestając ciągle z człowiekiem i z domowemi zwierzętami wróbel wyrobi sobie zadziwiającą, jak na ptaka, inteligencję. Można też zauważyć, iż wróbel mieszczuch jest o wiele zmyślniejszy od wróbla wieśniaka. Ta sama różnica daje się spostrzegać pomiędzy starym, a młodym, co stwierdza znane powszechnie przysłowie o plewach.

Przypatrzmy się, jak żyje wróbel w mieście.

Latem budzi się równo ze świtem i, poćwierkawszy wesoło na dachu, albo na kominie wygładziwszy pomięte podczas snu swe piórka, wyrusza szukać pożywienia. Wie on doskonale, dokąd w danej chwili się udać, ma bowiem doskonałą pamięć. Przypomina sobie okno, z którego miłosierna ręka wyrzuca mu okruszyny, lub umyślnie dlań kupowane ziarno; zawsze tam leci i cierpliwie oczekuje swojej codziennej porcji. Jeżeli niema opiekuna, to rankiem, zanim ruch się zacznie na ulicach, przepatruje bruk zbierając najmniejsze źdźbła. Spostrzegłszy konia, gryzącego owies z torby uwiązanej na szyi, spieszy skwapliwie do niego i zbiera z ziemi uronione ziarnka, nie zwracając uwagi na rzucanie głową i nogami wielkiego swego współbiesiadnika.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Odwrócić!



Do autorów Rozrywek. Nadsyłane prace należy pisać po jednej stronie kartki, u dołu podawać rozwiązanie, nadto na każdej kartce umieszczać imię, nazwisko i adres

Redakcja nie udziela odpowiedzi na pytania tyczące się oceny rozrywek, lub terminu ich umieszczania.

Do rozwiązujących: Rozwiązanie „Rozrywek Umysłowych" należy pisać na osobnej kartce. Każda kartka musi mieć u góry imię, nazwisko i adres rozwiązującego.

LOGOGRYF.

Z następujących sylab ułożyć 23 wyrazy o podanem znaczeniu, których początkowe litery, czytane z góry na dół dadzą rozwiązanie.

Znaczenie wyrazów:

1. Poeta pól, lasów.
2. Miejscowość kuracyjna.
3. Kraj w Europie.
4. Drzewo.
5. Imię żeńskie.
6. Spokój.
7. Imię męskie.
8. Zbiór.
9. Owoc.
10. Ryba.
11. Miejsce zwycięstwa Poniatowskiego.
12. Drogi kamień.
13. Miasto na Śląsku.
14. Zaimek wskazujący.
15. Kopalnie soli.
16. Rozrywka umysłowa.
17. Nauka o ciałach niebieskich.
18. Ptak.
19. Rycerz za Jagiełły.
20. Muzyk polski.
21. Miejsce w cyrku dla występów.
22. Rzeka w Egipcie.
23. Poeta.

Sylaby:

wly i wro pa re na no hoff cław i ci lek ssen e ston sza sław ra ja li zdzi ko cja a ar karp buz szyn me to tyst ka wi ów li gad ce wie czka za ka ja a nom stro kos o śni le cki pa re de wski a an re nil smond ej.

PRZESUWANKA.

Przestawcie litery tak, by środkowe litery wyrazów, czytane pionowo z góry na dół dały rozwiązanie.

L	A	W	R	Y
W	I	E	G	N
J	A	A	L	E
B	A	Ś	K	O
T	Y	K	A	N
S	A	L	K	A
J	A	R	O	S
K	Y	K	R	Z
T	A	R	K	A
P	E	R	K	O
K	A	M	A	R
D	O	S	T	A
Ł	A	W	I	S
Ł	E	R	Z	O
W	A	O	R	A

#

Rozwiązania nadsyłać można do czwartku, dnia 18 sierpnia b. r.

Za prawidłowe rozwiązanie powyższych rozrywek Redakcja przeznacza trzy nagrody.

NAGRODY.

Za prawidłowe rozwiazanie Rozrywek Umysłowych „Republiki Dzieci" drogą losowania otrzymali:

1. I. Luftman — Żeromskiego Nr. 58 — książkę.

2. Djanka Jakubowiczówna — Zawadzka 39 — grę towarzyska.

3. R. Ordynansówna — Składowa 31 — ćwierć kg. czekolady.

#

Nagrody odebrać można w Redakcji „Republiki Dzieci" — Piotrkowska 49, w czwartek dnia 11-go sierpnia b. r. między godziną 5—6 po południu.

ROZWIĄZANIE ROZRYWEK UMYSŁOWYCH

z Nr. 30 (118) „Republiki Dzieci".

Logogryf. Kuj żelazo póki gorące.

Kryptogram. Tomasz, Alva, Edison.

Z ANEGDOT

O KSIĘCIU RADZIWILLE „PANIE KOCHANKU".

Książę Radziwiłł Panie-Kochanku lubił opowiadać zmyślone historje, z których sam śmiał się w duchu, ale jawnie opowiadał je z wielką powagą. Rad był bawić swych gości słynnemi łgarstwami, a miał je zawsze jak na zawołanie.

Miał on na dworze swoim Leona Borowskiego, szlachcica ogromnego i barczystego. Książę bardzo go lubił za jego szczere przywiązanie, i że nikt tak mu placu przy kielichu nie dotrzymywał jak on, ba! nawet pobijał na tem polu księcia, to też wiele mu dozwolonem było.

Raz, wobec licznych gości, opowiada Borowski, jakiego to sposobu książę Panie-Kochanku używał na łowienie niedźwiedzi.

— Oto — mówił z rozkazu księcia pana kazałem knieję, w której się sadowiły niedźwiedzie, obstawić dokoło wozami, a dyszle tych wozów wysmarować grubo miodem. Jak wiadomo, niedźwiedzie za miodem przepadają; więc zwabione jego zapachem, powyłaziły z gęstwin i nuż chciwie oblizywać miód na dyszlach. Łakome niedźwiedzie, liżąc tak od początku dyszla coraz dalej a dalej, same się nadziewały, tak, że te początki dyszli drugą stroną im wyszły, i nieboraki ani w tę ani w drugą stronę ruszyć się nie mogły. Wtedy ukryci z rozkazu księcia pana chłopi wyskoczyli z zasadzki, zatkali kołkami końce dyszlów i ściągali z nich po jednemu te czarne bestje, niby grzyby nadziane ze sznurka. Jednego roku, co był w miód ubogi, dwa tysiące niedźwiedzi do Nieświeża zwieźli chłopi.

— Więc ja — kończył książę — skóry z nich, panie-kochanku, uładowałem na okręcie, by z nich zrobić w obcych krajach handel zamienny. Ale burza morska zagnała mię, panie-kochanku, na odległe i nieznane morze. Wiatry chwiały okrętem i już, już miały go przewalić. Wtedy ja, panie-kochanku, skoczywszy w rozhukane bałwany, uchwyciłem oburącz okręt, i przez całą drogę płynąc pod zagrożonym okrętem, a podpierając go własnemi barkami, przyprowadziłem do bezpiecznej przystani. Wszak tak było, panie Leonie.

— Tak, zupełnie tak, wasza książęca mość — potwierdził Borowski.

— Tak jeżdżąc po morzach, spotkałem raz, panie-kochanku, na Adriatyku pływającą prześliczną syrenę, pół-kobietę a pół-rybę. Otóż kazałem ją swoim ludziom, panie-kochanku, pochwycić i potajemnie ślub z nią wziąłem na okręcie. Potem, panie-kochanku, jakie miałem z syreny, złożone ze sto tysięcy śledzi, darowałem Borowskiemu, za co niemało pieniędzy zagarnął. Wszak prawda, Borosiu.

— Tak jest, co do joty, książę panie! — potakiwał pan Borowski, a goście serdecznie się uśmiali.

Kupon Nr. 23
„REPUBLIKI DZIECI"
Serja II. Rok 1932.
Wyciąć i schować.

Wydawca: Wydawnictwo „Republika", sp. z ogr. odp. Wacław Smólski. W druk. „Republiki", sp. z ogr. odp. Piotrkowska 49.